Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem. Cena 25 groszy

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy" Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II. WARSZAWA, DNIA 15 LISTOPADA 1924. Nr 62.

Francja uznała Rosję.

Francja uznała *de jure* Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich, t. j. — krótko mówiąc — Rosję.

Od dłuższego czasu wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że akt ten nastąpić musi. Trzeba bowiem przypomnieć, że jeszcze za rządów Poincaré'go czynione były próby porozumienia, próby półoficjalne, jako, że Poincaré oficjalnie na uznanie Rosji się nie godził. Nowy rząd francuski, pod przewodnictwem p. Herriot, był zwolennikiem uznania Rosji *de jure* i już w deklaracji swej przed Parlamentem w czerwcu b. r. o tem wspominał. P. Herriot był w roku 1922 w Rosji. Rezultatem tej podróży była, obok artykułów, bardzo Rosji przychylnych, wydanych w książce p. t. *La Russie Nouvelle*, energiczna kampanja przywódcy stronnictwa radykałów za uznaniem Rosji. Takąż kampanję prowadził przed wyjazdem do Rosji i po powrocie senator de Monzie, autor książki p. t. Du Kremlin au Luxemburg. Senator de Monzie z trybuny Senatu i w prasie głosił hasło *politique de présence* (polityki obecności), a gdy rząd p. Herriota przystąpił do realizacji swego programu, powołał p. de Monzie na stanowisko przewodniczącego komisji rosyjskiej. Wraz z tą nominacją sprawa była przesądzona. Wiadomo bowiem było powszechnie, że sen. de Monzie był zwolennikiem uznania *de jure* Rosji, bez warunków i bez zastrzeżeń. Tak się też stało.

Dziś zastanowić się należy, jak, wobec uznania Rosji, wobec nawiązania przez Francję stosunków z Rosją, ułożą się stosunki między Francją a Polską. Są ludzie w Polsce, którzy twierdzą, że nic się przez to nie zmieniło. Są tacy, którzy popadają w bezwładny pesymizm. I jedni i drudzy — tak nam się wydaje — błądzą. Nie wolno zapominać, że jeśli Polska ma we Francji tradycyjnych przyjaciół, to Rosja jest we Francji bardzo pupularna. Dzisiejsze pokolenie fracuskie wychowane zostało w atmosferze sojuszu francusko-rosyjskiego i stąd sympatje do Rosji są bardzo duże, Rosja jest ciągle i zawsze dla Francuzów bardzo pociągająca. Zauważyć też należy, że propaganda rosyjska we Francji idzie dwoma łożyskami: przedewszystkiem robota komunistyczna, która jest narzędziem pomocniczem akcji filorosyjskiej, następnie propaganda rosyjska tout court przez emigrację.

Z temi faktami polska polityka liczyć się musi i musi odpowiednio na terenie francuskim działać. Zapewne, że sojusz francusko-polski istnieje, zapewne, że nie uległ żadnym zmianom, zapewne, że mamy konwencję wojskową z Francją. Ale sojusze to nie wszystko. Nie umieliśmy — będąc ściśle związani sojuszem z Francją — współpracować w polityce rosyjskiej Francji. Musimy wobec tego dziś starać się wniknąć w istotę stosunków francusko-rosyjskich i odpowiednio działać.

Ale działać należy!

A.

Wymiana serdeczności między Herriotem i Cziczerinem.

Prezydent Rady Ministów Herriot otrzymał od p. Cziczerina, komisarza ludowego do spraw zagranicznych, następujący telegram:

Pozwoli mi Pan przesłać sobie gorące życzenia z okazji aktu, który otwiera drogę do rozwoju przyjaznych stosunków między naszemi narodami, drogę, która odsłania nam wyjście wielkie i głębokie ku przyszłości.

Jestem szczęśliwy, że nasza przyjaźń osobista, datująca się od lat kilku, przyczyniła się do tak znamiennych rezultatów.

Wspomienie naszych rozmów, które pozostawiły tak świeże ślady w mojej pamięci, pozwoliło mi, w ciągu szeregu dni ciężkich, na cierpliwe wyczekiwanie pożądanej godziny, która dziś wybiła.

P. Herriot odpowiedział telegramem treści następujęcej:

Raduję się nie mniej niż Pan z aktu, który pozwoli nam pracować wspólnie nad podtrzymaniem pokoju Europy i świata.

Niema narodów bardziej stworzonych do porozumienia, jak naród francuski, tak bardzo przejęty sprawiedliwością i braterstwem,

i wielki naród rosyjski, którego wybitne zalety miałem sposobność sam ocenić.

Jestem pewny, że nasze stosunki osobiste, tak szczerze serdeczne, ułatwią nam wspólną akcję w interesie naszych dwóch narodów.

Bunt ideału.

III.

Z jakiem przyjęciem spotka się książka Prezzoliniego śród jego rodaków? Pod tym względem sam on żadnych nie żywi złudzeń. Z góry przygotowany jest na to, że przez większość czytelników okrzyczany będzie za gorszyciela narodu, za potwarcę ojczyzny. Ale zdaje też sobie niewątpliwie sprawę i z tego, że książki takie, jak powyższa, nie pisane są dla większości, a raczej muszą same wokół siebie większość dopiero wytworzyć. Jak zazwyczaj, tak i tym, razem, publicznie oskarżać go będą najgłośniej ci, którzy przyznają mu słuszność pocichu. Jak zazwyczaj, tak i tym razem, sprawdzi się przepowiednia naszego Norwida: naród przebacza tym, którzy własne gniazdo kalają; ale nie przebaczy tym, którzy mówią, że jest skalane.

Ale autor dlatego właśnie, że wiedział, co go czeka, może spokojnie przejść nad tem, co go spotka. Wystarczy mu to szczupłe grono, które go zrozumie. Wystarczy mu, nadewszystko, głos przeświadczenia wewnętrznego. W tem przeświadczeniu, niewątpliwie, wspierają go przykłady najlepszych synów ojczyzny, od Dantego do Mazziniego. Pożar gniewu wybuchnąć może tylko tam, gdzie iskry posiała żarliwa miłość. Kto w duszy niesie ojczyzny swojej ideał, ten nie może nie porównywać go z rzeczywistością i musi stwierdzić, jak dalece ta rzeczywistość mu ustępuje. Stąd ów wysiłek, aby światło ideału, który jest męką i tęsknotą, przelało się w innych. Ale światło przelać się może tylko poprzez walkę. Kto przestaje na tem, co go otacza, ten nie ma powodu, aby przeciwstawiać się komukolwiek. Może kropić wszystko dokoła siebie święconą wodą pochwały i uznania. Ale szkoła pochwał nie jest szkołą najlepszą, i ponoć nie jest wcale szkołą, tylko dworactwem. Dworactwem, które było plagą, gdy schlebiało despotom w osobie dawnych monarchów, ale jest plagą stokroć groźniejszą, gdy schlebia wielomiljonogłowym demokracjom dzisiejszym, tym despotom nowoczesnym, którzy niemniej od dawnych potrzebują prawdy, ale bodaj jeszcze gorzej od tamtych ją znoszą.

IV.

Jeżeli więc Prezzolini smaga współczesną rzeczywistość włoską, to czyni to w przekonaniu, że ojczyznę jego stać naprawdę na coś wyższego, niż pochlebstwa; na coś wyższego,

niż to czem jest obecnie. Jego sarkazm, jego kipiący bunt jest buntem ideału; jest tej lepszej przyszłości zadatkiem, brzaskiem i rękojmią. Jest pierwszym zarysem wiary, wydzierającej się z objęć gnuśnego samozadowolenia. Bo jak powiedziałem, Prezzolini kocha swą Italję i wierzy w nią, tylko kocha i wierzy inaczej, niż inni; głębiej, mężniej i odważniej. Wierzy w nią raczej poprzez pracę i wyniki wychowania, niż poprzez odnowę polityczną. Ponad odmianę instytucyj wyżej stawia dzwignięcie i naprawę charakteru. Więcej zaufania pokłada w maluczkich, niż w bardzo wielkich; wierzy raczej w tych, co stoją na dole, niźli w tych, co wspięli się na szczyty. Woła o zasadnicze przeszacowanie walorów w tradycji swego kraju: radby położyć, nareszcie, kres temu nabożeństwu, jakie Włosi odprawiają przed pomnikami swej świetnej, lecz dawno umarłej chwały, celebrując je głównie na użytek cudzoziemców. Jego ideałem Włocha jest osobnik, który, nakoniec, przestał odcinać kupony od pamięci Michała Anioła i Rafaela; osobnik praktyczny, światlejszy, bardziej serjo, tętniący tętnem swej epoki, w każdym calu nowoczesny. Nie kustosz minionych wieków, ale robotnik dnia dzisiejszego i kowal jutra!

Czuje Prezzolini, że narodowi jego potrzeba wielkiej odmiany duchowej, i że odmiana ta mogłaby dokonać się w niedługim czasie; w ciągu, być może, paru pokoleń. Ale dokonaćby się mogła pod warunkiem zrozumienia przez Włochy obecne ich teraźniejszego stanowiska, które jest stanowiskiem niższości w obliczu innych ludów dojrzalszych; pod warunkiem bezlitosnego zdarcia ze siebie nałogów, poniżających wartość moralną narodu i jego godność; pod warunkiem dokonania oczyszczającego rachunku sumienia.

Czy szlachetne słowo Prezzoliniego trafi do sumień obywateli, czy też rozbije się o te skostniałe nałogi, którym wypowiada wojnę? — Nie naszą jest rzeczą sądzić o tem i uprzedzać sprawę, która, jeśli ma dać wyniki, rozegrać się musi w tajnikach organicznej świadomości narodu, niedostępnych oku obcemu.

Jedna wszelako rzecz w naszej pozostaje mocy. Oto rozbroić, w części chociażby, te zarzuty, jakie paść mogą przeciw autorowi, w jego kraju, z powodu źle interpretowanego oddźwięku książki jego zagranicą. Chełpliwa próżność narodowa może występować z rozmaitemi przeciw Prezzoliniemu zarzutami; śród zarzutów tych jeden wszakże powinien pozostać stale gołosłowny: że książka jego, obnażając wady włoskie, ugodziła w powagę imienia włoskiego.

Ktobykolwiek, poza Italją, pragnąc jej kosztem wywyższyć siebie i swój naród, sięgnął do kołczanu autora włoskiego i do jego bolesnych pocisków, ten dowiódłby tylko, że sam nosi w sobie tę najcięższą z przywar, jakie biczuje w swym narodzie Prezzolini.

Pisarz włoski wystąpił bowiem nie przeciwko Włochom, ale przeciw słabościom, obarczającym Włochy i bynajmniej nie stanowiącym monopolu Włoch. Książka jego uczy pokory i rzetelności, a któryż naród nie grzeszy zarozumiałością i obłudą? Wzywa do energji, do nowoczesności, do pełni napięcia sił a któryż z narodów nie tai w sobie osadu obumarłych epok i nie boryka się z ciężarem swej przeszłości?

Strzały Prezzoliniego, mierząc w półwysep Apeniński, przenoszą daleko poza jego rubieże. I na tem polega ich najistotniejsza wartość: ich doniosłość uniwersalna. Większość jego krytycznych uwag skrojona jest tak, jakgdyby autor miarę dla nich brał nie nad Tybrem i Arno, ale nad Wisłą i Wartą. Dość wspomnieć obraz owej sprawiedliwości, która swój adres zgubiła, i która napróżno go szuka błąkając się po kraju: czyż naprawdę jest ona zjawiskiem tylko włoskiem? Czyż i my, w ojczyźnie swej, za Prezzolinim nie powinniśmy powtórzyć: sprawiedliwość istnieje, lecz adres jej został pomylony? I czy wespół z nami, i poza nami, nie szukają adresu tego — mniej lub więcej napróżno — wszystkie społeczeństwa Europy?

Jan Gromicz.

O prochy Słowackiego.

(*Na marginesie sprowadzenia zwłok Sienkiewicza*).

Nie bacząc, iż upłynęło już 6 lat od dnia zrzucenia przez Polskę obcego jarzma, nie pomyśleliśmy dotąd realnie o spłaceniu wielkiego długu, obciążającego sumienie odrodzonego narodu wobec Nieśmiertelnego Wieszcza, Juljusza Słowackiego. Na kilka lat przed wielką wojną projekt sprowadzenia zwłok Słowackiego był bliski urzeczywistnienia. Niestety, na przeszkodzie stanęło veto dostojnika kościelnego, i projekt pogrzebano. Dziś warunki się zmieniły. Jakkolwiek obskurantyzm gnieździ się jeszcze zarówno w Warszawie, jak i Krakowie, nie do pomyślenia jest przecie, aby w niepodległej demokratycznej Polsce (która bądź co bądź odbiegła od światopoglądu kołtuństwa krakowskiego z przed dwu dziesiątków lat) znalazła się wśród duchowieństwa jednostka, protestująca przeciwko pochowaniu Słowackiego w królewskich grobach Wawelu.

Sprowadzenie zwłok Sienkiewicza przypomniało nam obowiązek wobec drogich szczątków Słowackiego. Nie będziemy tu poruszać przykrej sprawy pierwszeństwa. Dobrze się stało, że obowiązek wobec Sienkiewicza został spełniony, że Mistrz pokrzepiania serc z czasów największego ucisku narodowego, spoczął w ojczystej ziemi. Ale wielką krzywdą, wyrządzoną pamięci Słowackiego, wielką krzywdą dla Polski, walczącej z duszącą ją zmorą najbrutalniejszego materjalizmu, byłoby

dalsze odkładanie sprowadzenia zwłok Słowackiego. Jeżeli, jak przekonaliśmy się wszyscy, nie był dla nas zbyt uciążliwym wysiłek spełnienia obowiązku wobec Sienkiwcza, to niepojętą wprost biernością (przedewszystkiem ze strony inteligencji, rozumiejącej Słowackiego), nieposzanowaniem wielkości i znaczenia Króla-Ducha poezji naszej — byłoby dalsze powstrzymywanie się od czynnego zajęcia się tak doniosłą sprawą.

Rozumiemy, że sprowadzenie zwłok Sienkiewicza o wiele mniej nastręczało trudności.

Jednakowoż nie można tak poziomemi względami pokrywać i usprawiedliwiać bierności społeczeństwa wobec obowiązku, do spełnienia którego nawet nie dano dotychczas w wolnej Polsce inicjatywy.

Kroczenie po linji najmniejszego oporu jest mimowolnem pogrążaniem w niepamięci wielkich i żywych idej nieśmiertelnego Wieszcza.

* * *

Sienkiewicza znają omal wszyscy (z wyjątkiem przygniatającej jednakże większości „strzech") — Słowackiego zaś nieliczne grono inteligencji. Bowiem widzieć na scenie „Mazepę", „Balladynę" i „Lillę Wenedę", lub pamiętać z ławy szkolnej coś nie coś o poecie — nie jest to jeszcze znać Słowackiego. Słowacki, (jakże boleśnie stwierdzać ten fakt) nie jest dotychczas popularny! Ale czyż rzeczywiście nie doroślismy jeszcze do zachwycania się nim, do umiłowania piękna jego poezji?

Twierdzimy, że tak nie jest. Znamy bowiem wypadki, że Słowacki dzięki inicjatywie dzielnych jednostek, trafił do niektórych zrzeszeń robotniczych. Gra więc tu rolę inna przyczyna: brak popularyzatorów oraz stare przeświadczenie o niezrozumiałości Słowackiego. Po zrzuceniu kajdan niewoli nie pomyśleliśmy jeszcze o udostępnieniu szerokim warstwom nabycia jego dzieł, rozpowszechnienia ich, spopularyzowania. A tymczasem duch narodu tonie w szarzyźnie, pospolitości. To też jaknajrychlej winno powstać towarzystwo imienia Juljusza Słowackiego, które, poza zorganizowaniem stałego studjum, zajmie się popularyzacją dzieł nieśmiertelnego Mistrza, sprowadzeniem jego zwłok i budową pomika w Warszawie. Mamy cały szereg wybitnych znawców Słowackiego, którzy z wielkiem umiłowaniem od szeregu lat pracują nad jego dziełami. Niechże oni ujmą inicjatywe w swe ręce, niech zaapelują do społeczeństwa.

Pomyślmy bowiem, jakim doniosłym faktem w dzisiejszych czasach będzie popularyzacja dzieł Słowackiego i sprowadzenie jego zwłok.

Najbrutalniejszy materjalizm powojenny odebrał narodowi pokarm duchowy, spaczył umysły i serca, zepchnął piękno idei i samą ideę na najniższe omal stopnie zainteresowania

społecznego. Ludzie, spostrzegający to opadanie ducha narodowego ku nizinom, tę walkę zwycięską wszelakiej pospolitości, sobkostwa i karjerowiczostwa z prawdziwym patrjotyzmem, szlachetnością i szczerą pracą dla społeczeństwa, wyprowadzając z tych objawów jaknajsmutniejsze wnioski, szukają leku dla ducha, szukają źródeł ożywczych, z których można by zaczerpnąć nowych sił, nowej energji. To też te fakty i objawy niech dla pozytywistów posłużą argumentem (jeżeli potrzebne są tu argumenty poza poczuciem obowiązku), że uroczyste sprowadzenie zwłok Słowackiego może być krynicą duchowego odrodzenia narodu.

Względy materjalne nie powinny i nie mogą stać na przeszkodzie. Jeżeli potrafiliśmy zgotować wspaniały pogrzeb Sienkiewiczowi, potrafimy uczynić to samo dla Wielkiego Budowniczego ducha narodowego, dla piewcy wzlotów ducha tego najwznioślejszych.

Marjan Uzdowski.

Dlaczego umorzono sprawę o inwigilację Marszałka Piłsudskiego i oficerów legjonowych, i dlaczego akt tej sprawy nie udzielono generalskiemu sądowi honorowemu?

Tocząca się od roku w sądzie wojskowym sprawa Błoński-Pieczonka, o szpiegowanie przez rząd Witosa-Głąbińskiego Pierwszego Marszałka Polski i oficerów W. P. pochodzących z Legjonów, na wniosek prokuratury została umorzona. Opinja publiczna ma pozostać w niepewności — miała czy nie miała miejsca ta ohyda, oświetlająca psyche obozu rządzącego wówczas państwem i dzisiaj do władzy się rwącego.

Niewątpliwie należało dla spokoju udręczonego społeczeństwa i oszczędzenia Polsce kompromitacji wobec kulturalnych i praworządnych narodów — przemilczeć tę sprawę, zlikwidować ją w ciszy sądu honorowego, zniszczyć zło bez uciekania się do wyroku sądu państwowego, działającego na szerokiem forum publicznem — jak tego wymaga ustawa — jawnie, demonstracyjnie. Takiego załatwienia sprawy domagał się rozum polityczny, zastąpiony, przez ten smutnej pamięci rząd klęski, racją partyjną. Ta racja właśnie kazała prokuraturze wojskowej, zależnej od ministra spraw wojskowych, wbrew opinji sądu, wynieść sprawę na ulicę i rzucić ją na żer gawiedzi łaknącej sensacji, w nadziei wyłowienia z niej materjału dla zohydzania najzasłużeńszych synów ojczyzny, z jej wskrzesicielem i obrońcą na czele. To ci sami ludzie, zabiegający dzisiaj, wobec materjału dostarczonego przez śledztwo, o umorzenie

sprawy, uczynili z niej własność publiczną. Przeliczywszy się w rachubach i poczuwszy na własnej skórze ostrze sztyletu, którym chcieli uśmiercać moralnie innych, wymogli na swych następcach w rządzie odwrócenie od nich klęski, jaką w tej sprawie ponieśli.

Nie widzimy racji służyć im w tem dziele pomocą. Pod względem efektu zewnętrznego i wewnętrznego zło ujawnienia tej sprawy dokonało już swego ponurego dzieła. Nie mamy pod tym względem nic do oszczędzenia, ani uratowania. W tej chwili jest to już tylko sprawa odpowiedzialności obozu i jego przedstawicieli winnych występku szpiegowania, a tem samem stawiania w podejrzenie z punktu widzenia prawomyślności państwowej, aktywnych i wysokich oficerów armji i polityków, z pracy i zasług czerpiących tytuł do roli pierwszych w państwie gospodarzy. Jest rzeczą słuszną, aby tę odpowiedzialność, jeśli nie oficjalną, wyrokiem sądowym ustaloną, to przynajmniej moralną, ponieśli.

Dlaczego umorzono tę sprawę? dlaczego jej aktów, mimo dwukrokrotnych żądań, nie udzielono sądowi honorowemu dla generałów, gdy ten rozpatrywał sprawę gen. Szeptyckiego, najściślej związaną z zagadnieniem odpowiedzialności tego ministra spraw wojskowych za inwigilację Marszałka? — odpowiedzą świadkowie w procesie Błońskiego, których zeznania w ważniejszych wyjątkach przytaczamy dosłownie.

. . . .

(Kierownik Oddziału Inf. Kom. Rządu na m. Warszawę—inspektor Józef Piątkiewicz).

Znam dużo faktów zarządzeń inwiligacyjnych Szefa Oddz. Inf. M. S. W. Swolkienia, który, obawiając się ciągle zamachu stanu ze strony Marszałka Piłsudskiego, względnie osób stojących koło niego, wydał szereg zarządzeń inwigilowania ich przez policję państwową, a ponadto pozostawał w ciągłym kontakcie z mjr. Pieczonką, celem inwigilowania przez władzę wojskową. Znane mi jest w szczególności zarządzenie inwigilacji b. adj. b. Naczelnika Państwa płk. Wieniawy-Długoszowskiego.

. . . .

Wyjazd Swolkienia do Wilna za Marszałkiem Piłsudskim miał na celu li tylko inwiligację i uniemożliwienie ciągle oczekiwanego (!!) zamachu stanu, o czem mówił mi komisarz Gwóźdź. . Swolkień na tę wyprawę zabrał do Wilna komisarza Gwoździa i podkomisarza Sawczyna. Wymienieni otrzymali w pierwszej linji rozkaz być obecnymi na wszystkich odczytach i wystąpieniach publicznych Marszałka Piłsudskiego i inwigilowania osób z jego otoczenia, jak np. posłów Miedzińskiego i Kościałkowskiego. Sawczyn zeznał, że obserwując posła Miedzińskiego, który był u Marszałka Piłsudskiego przy ul. Portowej, obserwował dom, w którym mieszkał Marszałek. Ponadto Swolkień dał rozkaz nadkom. Florce wydania zarządzeń inwiligacji wojskowych b. formacji legjonowych, a sympatyków Marszałka: płk. Pasławskiego, mjr. Dąb-Biernackiego, kpt. Kirtiklisa, płk. Tokarzewskiego, rtm. Zajączkowskiego, kpt. Sekundę z Oddz. II i por. Zaćwilichowskiego... O tym opowiadał mi Florko w obecności kom. Gwoździa i Sawczyna.

Swolkień przy wydawaniu tych zarządzeń spytał nadkom. Florkę, czy ma odpowiednich ludzi do wykonania tych zarządzeń, oraz do obstawienia Marszałka, t. j. inwigilowania go, a gdy mu Florko odpowiedział, że nie ma zaufanych ludzi, Swolkień powiedział, że się zwróci o to do redaktora (II) Kownackiego. Florko i Gwóźdź wiedzą o tem, że istotnie Swolkień w czasie swego pobytu w Wilnie ciągle komunikował się z redaktorem Kownackim.

Ponadto opowiadał mi Sawczyn o pismach Swolkienia do Ministra Spraw Wojsk. o usunięcie pewnych wyższych oficerów, sympatyków Marszałka!...

(Podinspektor P. P. — Henryk Kawecki).

Jakkolwiek nie interesowałem się zarządzeniami wydawanemi przez Swolkienia, to jednak z tytułu mego stanowiska dochodziły do mnie wiadomości o inwigilacyjnych zarządzeniach przeciw Marszałkowi Piłsudskiemu, względnie przeciw najbliższemu jego otoczeniu.., W lipcu 1923 r. z powodu odczytów Marszałka we Lwowie, Krakowie i Wilnie, w sferach policji politycznej kolportowano usilnie pogłoskę o możliwości zamachu przez sfery lewicowe... W związku z temi pogłoskami wyjechał do Wilna Swolkień z komisarzami Gwoździem i Sawczynem... Że istotnie Swolkień miał za zadanie inwigilację otoczenia Marszałka, świadczą następujące fakty. W tym czasie byli inwigilowani posłowie Miedziński i Kościałkowski, płk. Tokarzewski, kpt. Kirtiklis i t. d., nadto komisarz Gwóźdź z polecenia Swolkienia był obecny na odczycie Marszałka Piłsudskiego, a komisarz Sawczyn obserwował lokal Wyzwolenia i dom na ul. Portowej, w którym Marszałek mieszkał... Od nadkom. Florki słyszałem, że Swolkień, nie mogąc dostać odpowiednich ludzi do tej inwigilacji od nadkom. Florki, miał zwrócić się o pomoc w tym kierunku do redaktora Kownackiego.

Ponadto słyszałem od p. Olejniczakowskiego Eugenjusza b. kierownika Eksp. Oddz. Inform. w Nowogródku (obecnie red. *Głosu Wileńskiego*), że otrzymał polecenie inwigilowania oficerów Oddziału II-go.

(Podkomisarz P. P. — Józef Ludwik Sawczyn).

Po przybyciu tam (do Wilna—*P. R.*) odbyliśmy natychmiast wspólną konferencję z kierownikiem tam. Ekspozytury nadkom. Florkiem, omawiając konieczność i sposoby inwigilacji najbliższego otoczenia Marszałka Piłsudskiego, oraz wybitniejszych osób ze świata wojskowego, zbliżonych do Marszałka przekonaniami... Otrzymałem dwa rozkazy inwigilacyjne, a mianowicie inwigilowania posłów Miedzińskiego i Kościałkowskiego, oraz udania się na odczyt Marszałka i na wiec Wyzwolenia i P. P. S., razem z kom. Gwoździem... Wiadomo mi jest, że kom. Gwóźdź pisał raporty dotyczące działalności Marszałka i raporty te były natychmiast wysyłane Hughesem do Dep. Bezp. M. S. W. w Warszawie.

(Komisarz P. P. — Karol Stanisław Gwóźdź).

Z chwilą upadku gabinetu gen. Sikorskiego i objęcia rządów przez gabinet Witosa, w biurach służby Inf. M. S. W. poczęły krążyć uporczywe pogłoski o zamachu stanu. Dziwnem było, że jakkolwiek byłem wówczas ręką Swolkienia, pogłoski te nie docierały do mnie drogą urzędową t. j. na podstawie raportów, a natomiast szerzył je Swolkień, rzekomo na podstawie swoich prywatnych konfidentów.

...Nie przypominam sobie, by przed wyjazdem naszym do Wilna nadeszły z Wilna jakieś alarmujące wieści o nastroju w związku z pobytem Marszałka... Wyjazd nasz był tak dalece osłonięty tajemnicą, że nawet kierownik kancelarji wypełniający dokument podróży nie wpisał do-

kąd jedziemy... Swolkień obdarzał mnie specjalnem zaufaniem, jako człowieka przekonań prawicowych i dlatego odrazu oznajmił mi, że jedziemy do Wilna, celem obserwowania działalności Marszałka Piłsudskiego. Po przybyciu do Wilna naradziliśmy się nad naszą działalnością, a to celem obstawienia Marszałka i jego otoczenia.

...Wysłane przez nas do Dep. Bezpieczeństwa raporty były alarmujące, a Swolkień skarżył się przedemną, że Szef Dep. Bezp. Bilski nie zdaje sobie sprawy z powagi chwili i sceptycznie przyjmuje meldunki Swołkienia. Ja tymczasem odwrotnie, odniosłem wrażenie, że w Wilnie był zupełny spokój, że alarm był zbyteczny, a jeśli ktokolwiek wywoływał wzburzenie, to chyba Swolkień swojemi alarmami.

... Przed wyjazdem z Wilna odbyliśmy jeszcze naradę, na której ustaliliśmy nazwiska sympatyków Marszałka, jak Zajączkowskiego i innych, których Swolkień polecił Florce inwigilować.

... Wobec tego, że Swolkień, mimo fiasca jego poprzednich przyprzypuszczeń, opanowany manją zamachów, ciągle takowe podejrzewał, niepokojąc tem społeczeństwo, mimo, że nie zmieniłem swoich przekonań prawicowych dotychczas, odsunąłem się zupełnie od niego, uważając go za szkodnika społecznego.

(Nadkomisarz P. P. — Józef Florek).

W sierpniu 1923 r. byłem kierownikiem Oddz. Inform. w Wilnie. O ile sobie przypominam, dn. 15 sierpnia 1923 r. przyjechał Marszałek Piłsudski do Wilna i zamieszkał u swego brata. Niewątpliwie w meldunkach moich, wysyłanych telefonicznie, czy też Hughesem, nadmieniłem Dep. Bezp. M. S. W. o przybyciu Marszałka, jednak bez jakichkolwiek alarmujących wieści. Dlatego też zdziwiłem się, gdy 17. 8. 1923 r. rano przyjechał Szef Służby Inform. Swolkeń z komisarzami Gwoździem i Sawczynem, podając jako cel swego przybycia pobyt Marszałka w Wilnie i zjazd Wyzwolenia.

... Otrzymałem od Swolkienia rozkaz ustalić osoby przybyłe z Warszawy w otoczeniu Marszałka... Dn. 19. 8. 1923 r. otrzymałem ponadto rozkaz obserwowania, w miarę sił, oficerów Legjonowych: płk. Tokarzewskiego, płk. Popowicza, mjr. Dąb-Biernackiego, mjr. Koca, kpt. Wąsowicza, por. Ankersztejna, por. Trojana i innych oficerów, których nazwiska spisałem w notesie. Z cywilnych osób polecił mi Swolkień obserwować żonę prezydenta miasta Okuciejewską i Karnicką z Wyzwolenia.

Twierdzę stanowczo, że Swolkień wydawał wszelkie zarządzenia, zmierzające do obserwowania otoczeniu Marszałka Piłsudskiego w stosunku do panujących nastrojów.

(B. wywiadowca Oddz. II Szt. Gen. — Efim Pironer)

W końcu listopada lub w początku grudnia 1923 r. Płakida (podkomendny mjra Pieczonki — *P. R.*) polecił mi jechać do Sulejówka śledzić dom Marszałka Piłsudskiego, wszystkich odwiedzających go, oraz tych wywiadowców, którzy mają za zadanie ochranianie Marszałka. Odmówiłem temu żądaniu, usprawiedliwiając się, że śledzenie Marszała Piłudskiego jest sprawą drażliwą, a że ja jestem Rosjaninem, więc nie chciałbym się do tych spraw mieszać.

Wówczas Płakida powiedział mi, żebym się namyślił i przyszedł z odpowiedzią do jego mieszkania. Ja mimo to nie zdecydowałem się na to żądanie, więc też Płakida wkrótce potem, bez żadnego powodu, oddalił mnie.

(B. agent odd. II Szt. Gen. — Józef Chojecki).

We wrześniu 1923 r. Płakida zaproponował, o ile chcę nadal z nim pracować, bym inwigilował Marszałka Piłsudskiego. Żądaniu temu od-

mówiłem. Mimo to Płakida kilkakrotnie mnie jeszcze nagabywał, wreszcie, widząc mój upór, pozostawił mnie na pewien czas w spokoju.

Dopiero w grudniu 1923 r. ponownie powrócił do tego tematu. Mianowicie zaproponował mi Płakida bym pojechał do Sulejówka, wynajął tam mieszkanie i inwigilował Marszałka, oraz odwiedzających go, przytem chciał mi dać 40 dolarów, a 60 następnego dnia. Propozycji tej nie przyjąłem, wobec czego Płakida zwolnił mnie ze służby.

(Wachmistrz żandarmerji — Walenty Wójcik).

Zaraz po zamordowaniu Prezydenta Narutowicza zostałem wyznaczony przez d-cę dyonu I żand. wojsk. do ochrony Marszałka Piłsudskiego, który wówczas mieszkał w budynku Sztabu Gen. na placu Saskim. Po ustąpieniu ze stanowiska Szefa Szt. Gen. Marszałek zamieszkał w Sulejówku, więc wówczas pełniłem moją służbę w Sulejówku.

Począwszy od lipca zauważyłem stale kręcące się około willi Marszałka, indywidua, a między niemi czasem studentów uniwersytetu, przyczem nawet dla niefachowca było zupełnie jasne, że wymienieni śledzili Marszałka i wszystkich odwiedzających go — śledzących było zawsze para i pozostawali na stanowisku dzień i noc. Między niemi zauważyłem nawet kobiety.

. . . .

W tych kilku wyjątkach, wybranych z obfitego materjału, zawarta jest odpowiedź na pytanie: dlaczego umorzono sprawę o inwigilację Marszałka Piłsudskiego i oficerów legjonowych, i dlaczego akt tej sprawy nie udzielono, mimo dwukrotnych żądań, generalskiemu sądowi honorowemu.

w. s.

Jeszcze w sprawie drożyzny.

W art. p. t. „U źródeł klęski drożyzny“ ustaliliśmy, że kolosalny wzrost cen wynika z nieobywatelskiego stosunku uprzywilejowanego producenta do spożywcy i że grozi on nieobliczalnemi następstwami życiu gospodarczemu państwa. Celem wyciągnięcia stąd konkretnego wniosku koniecznem jest dorzucenie paru uwag do artykułu poprzedniego. Potrzebny materjał podaje w swem exposé sejmowem i senackiem p. Wł. Grabski.

Nasze stosunki gospodarcze wystawione zostały tego roku na szczególne niebezpieczeństwo. Urodzaje, o 30 proc. mniejsze od przeciętnych, stworzyły korzystną konjunkturę dla elementu, który uprawia politykę wykorzystania trudnego położenia kraju. Jeżeli „średnie zbiory ziarna zaledwie wystarczają na pokrycie zapotrzebowania rynku wewnętrznego“, to „nieurodzaje, są wielką i ciężką klęską, jaka nas spotkała“. Neuczciwe sfery rolnicze wyzyskały nieszczęście znakomicie. Drogą nadużycia ustawy o uregulowaniu eksportu odpowiedniemi cłami i na podstawie rachunku, że „wbrew woli większości sejmu“ opłaty cłowe nie nadążą za gwałtownie rosnącemi cenami rynku międzynarodowego, wzmogły, w czasie wielce dla państwa groź-

nego nieurodzaju — wywóz zboża za granicę. Tym sposobem zyskały nowe nader korzystne ustosunkowanie cen na rynku krajowym. Dzięki niemu „znaczna ilość produktów już nie jest dziś dla rolnika droższą niż przed wojną“. Jednocześnie jednak ciężkie warunki bytu konsumenta nie uległy zmianie na lepsze, przeciwnie, grający na zwyżkę producenci znakomicie je pogorszyli. Rezultatem tak nienormalnego stanu rzeczy jest szereg zjawisk, które prowadzą nasze słabe życie gospodarcze ku katastrofie. „Drożyzna zatamowała dobroczynną ewolucję, na jaką wkroczyliśmy w maju i czerwcu, wiodącą do powszechnego potanienia“. Środki żywności kolosalnie zdrożały, a zarazem nieustannie rośnie wskaźnik kosztów utrzymania“. Ostatnie cztery miesiące przyniosły podwyżkę drożyzny życia i płacy o przeszło 21 proc. łącznie. Gdyby drożyzna w takim stosunku nadal wzrastała, a „brak zboża uwydatnił się w jeszcze silniejszym stopniu, to większe wydatki państwowe stałyby się konieczne i budżet nie utrzymałby się w dotychczasowych granicach“, jego, z trudem osiągnięta, równowaga zostałaby zachwianą.

„W zakresie sanacji życia gospodarczego najlepsze i najzdrowsze są metody, które działają systematycznie oraz stopniowo”. Ruina budżetowa wyklucza stosowanie tego zbawiennego środka, tem samem przekreśla osiągnięte zdobycze na polu ekonomicznem.

Reasumujemy. Jedne elementy ziemiaństwa, spekulujące na trudnem położeniu kraju, drugie, uprawiające bez przerwy nieobywatelską politykę wyzysku konsumenta — młotem drożyzny niszczą dzieło sanacyjne, dokonane wysiłkiem społeczeństwa. Jedynie najradykalniejsza metoda walki z tak destrukcyjnym programem przyniesie zwycięstwo. O tem rząd, o tem spożywcy nie powinni zapominać.

n.

W rocznicę „bitwy na Grzybowie”.

(13.XI.1904).

„Nie chcemy być żołnierzami cara“
(słowa odezwy).

Rok 1904, rok wojny rosyjsko-japońskiej, nie wstrząsnął serc ani sumienia Polaków; osłabił conajwyżej wiarę w niezwyciężoność Rosji, którą pokolenia popowstańcze przekazywały jedno drugiemu, tak jak niegdyś ssano z piersi matek nienawiść do dziedzicznego wroga i gnębiciala. Czegóż było się niepokoić i co roztrząsać? Odezwa Ligi Narodowej (podobno pióra Dmowskiego) uspokajała całkowicie sumienie społeczne, zapewniając, że, czy Rosja wygra czy przegra, zawsze wyjdzie

osłabiona z tej walki, a wtedy przy zawieraniu pokoju będzie czas wystąpić z pretensjami i potargować się o pewne koncesje. Czekano więc cierpliwie, a arcybiskup Chościak-Popiel organizował lojalnie oddziały Czerwonego Krzyża dla przyjścia z pomocą rosyjskiemu. O mobilizacji nie myślano, nie wierzono w nią nawet, gdyż nikt nie przypuszczał, aby tak prędko potęga materjalna Rosji miała się wyczerpać. Lojalny jednak ogół na ten wypadek był zdecydowany wypełnić posłusznie swój „obowiązek“ względem państwa.

W końcu października ogłoszono jednak częściową mobilizację. Głosiły o niej rozklejone plakaty. Ludność czytała je i nie wiedziała, co robić. Kto uważnie czytał, ten mógł jednak w parę dni później odczytać na słupach ogłoszeniowych rozklejoną starannie niewiadomą ręką odezwę małego formatu, wzywającą „towarzyszy i obywateli“ do zbrojnej demonstracji, mającej zaprotestować w imieniu ludu polskiego przeciw mobilizacji, dokonywanej dla obcych nam celów.

„Robotnicy! Waszą ojczyzną jest niepodległa Polska rzeczpospolita demokratyczna“ — głosiły słowa odezwy, którą wszędzie z tchem zapartym czytano. „Tylko ta ojczyzna ma prawo do ofiary z krwi“.

Dawno już nikt w Warszawie i w całym kraju nie przemawiał podobnym językiem. Już to wogóle literatura nielegalna, a zwłaszcza odezwy złą miały markę w oczach poczciwych i spokojnych mieszczuchów, którzy zapewniali, że ci, co je wydają, chcą cały naród zgubić, podobnie jak naszych ojców zgubili Trauguty i Mierosławscy. Ta zaś odezwa, nawołująca do protestu z bronią w ręku, przerażała obywateli nawykłych do jarzma.

A jednak nie wszystko było przeżarte jadem niewoli. Mała kartka, podpisana przez komitet centralny polskiej partji socjalistycznej, trafiła i do towarzyszy i do obywateli. I protest zapowiedziany w odezwie, stał się czynem, gdy nadszedł dzień oznaczony.

Kotłowało się już od dni paru w środowiskach robotniczych, kotłowało również w tajnem postępowem stowarzyszeniu akademickiem „Spójnia“, gnieżdżącem się przy ul. Chmielnej 16. Studenci uniwersytetu postanowili iść z pomocą robotnikom, przygotowującym się do czynnego wystąpienia i znaleźć się z bronią w ręku na placu Grzybowskim przed kościołem. Napróżno garstka opozycjonistów, wyznających zasady Róży Luksemburg, przekonywała na ad hoc zwołanem zebraniu, że na demonstrację iść nie należy, bo cała akcja ma chakter socjal-patrjotyczny, jak o tem zresztą świadczy odezwa adresowana do „towarzyszy i obywateli“, podczas gdy socjalista do obywatela, to jest burżuja, zwracać się nigdy nie powinien. Młodzież olbrzymią większością postanowiła wziąć udział w demonstracji.

Nadszedł wreszcie dzień, z tak wielkiem upragnieniem oczekiwany przez tylu chcących, aby coś się stało nareszcie, coby przerwało ciągłość niewoli i ciągłość upokorzeń, z któremi nie każda dusza oswoić się mogła. Gdy tłum po sumie wysypał się z kościoła, nad jedną garstką uniósł się wysoko sztandar z napisem: „Nie chcemy być żołnierzami cara!" W tej chwili runęła ławą ku demonstrantom liczna grupa policji, lecz po chwili pierzchła w dzikim popłochu, rażona kulami.

Odgłosy strzałów słychać było przez dzień cały. Jeszcze późnym wieczorem padło w okolicy ulicy Bagno i Wielkiej kilka ofiar, a wśród nich paru przypadkowych przechodniów.

Po raz pierwszy od lat czterdziestu powitano strzałami policję, a następnie wojsko, które przyszło jej z pomocą. Po raz pierwszy rząd był zmuszony wysłać przeciw ludności oddziały piechoty i konnicy, która przez całą noc biwakowała na placu Grzybowskim. Po raz pierwszy przejrzał obywatel i zrozumiał, że w dotychczasowym stosunku ludności polskiej do zaborczych władz rosyjskich jest coś nie w porządku, choć do tego się tak przywykło.

„Warszawskij bunt" — tak zatytułowały wiadość o demonstracji w parę dni później *Moskowskija Wiedomosti* Gringmunta, opłakując straty w ludziach policji rosyjskiej. Nie był to jeszcze bunt, ale był to wybuch rakiety, oświetlającej narodową noc, trwającą zbyt długo.

Manifestacja 13 listopada 1904 roku stała się punktem wyjścia walki zbrojnej, która trwała przez lat parę, wciągając olbrzymie masy polskiego ludu w orbitę czynu niepodległościowego.

Kto widział przerażenie policji, dezorjentację publiczności, oraz radosny nastrój studentów i robotników, dumnych ze swego czynu i opowiadających jeden przez drugiego szczegóły swego „chrztu wojennego", ten nigdy nie zapomni dnia tego, przypominającego nieco rok 1861 biwakiem wojska na placu i zatarasowaniem części demonstrantów w kościele, skąd większości ujść się udało.

Na nastroju tym i na gotowości bojowej warszawskiego ludu oparł się Ten, który był twórcą i organizatorem wielkiej grzybowskiej demonstracji. Oprze się on na nim i nadal po wielekroć aż do chwili zdobycia niepodległości, w swem zmaganiu się z biernością i przyzwyczajeniem do niewoli ogromnej części polskiego ogółu.

J. Krzesławski.

Gulardowe kartki ulotne.

Biją! Biją! Biją!

To nie w dzień uroczysty Konstytucji majowej narodowe sokołów szeregi biją w bęben marszowy... To nie dzwony żałobne biją nad trumną twórcy „Trylogji"... To nie zwycięskie zastępy króla Jana biją potęgę niezwyciężonego połksiężyca... To mnie, mnie, o Narodzie, biją!

Najbardziej wyuzdana wyobraźnia sadysty-bolszewika, kształcona w podziemiach i katorniach czrezwyczajki żydowskiej, najlotniejsza wyobraźnia romantyczna malująca świat Boży kolorami tęczy skradzionemi, nie odda słowem, piórem, gestem, nie odda myślą lotną, jak mnie bili.

Bili! Bili! Bili!

To nie jakiś tam Miedziński, wybrany głosem członków Bundu, nęconych czerwoną gwiazdą Dawidową, na mnie, posła stolicy Najjaśniejszej Rzeczpospolitej, rękę był podniósł... Ta ręka Bogusława Radziwiłła, która teraz na mnie, jak ongiś w przymierzu z najeźdźcą, na Ojczyznę się porwała (bo nie jest to rzeczą przypadku, że p. Miedzińskiemu — Bogusław na imię) ta ręka, którąby uciąć warto i psom rzucić na pożarcie, ta ręka, która w każdem praworządnem państwie dawnoby na szubienicy zawisła, jest nie jego li tylko ręką. Jest ręką *ich!*

Ich! Ich! Ich!

Tych wszystkich, którzy w wolnej i niepodległej Polsce wolnie i uczciwie żyć nie chcą, lecz schodzą się dwójkami, trójkami, najwyżej czwórkami i szepcą, szepcą, szepcą...

Co szepcą? Co szepcą? Bóg Najwyższy raczy wiedzieć.

Ale z tych schadzek tajemnych, z tego zwąchiwania się po kątach ubocznych, z tych szeptów wszystko zło, wszystkie strajki, bądź rolne, bądź przemysłowe, bądź apteczne, wszelka drożyzna przy mocnym złotym, wszelkie napady na kresach, wszelkie klęski żywiołowe i dyplomatyczne, jakie na kraj nasz i tę ojczyznę spadają. Na te szepty sama policja nie poradzi. Niemocna też konstytucja z idealizmu studenckiego i chłopskigo analfabetyzmu wyrosła. Na te szepty, a więc i na tę symboliczną rękę, która ongiś za płaszcz purpurowy ginącej ojczyzny targała, a teraz na mnie się targnęła, potrzeba nie szeptu, bo szeptów szeptem nie odeprzesz, lecz słowa głośnego, wolnego i godnego wolnych Polaków, potrzeba jednego wielkiego krzyku trzydziestomiljonowego narodu, którego krzyk zdrowej opinji, opinji narodowej i patrjotycznej, bijącej w niebiosa wraz z serca chrześcijańskiego biciem okazałby się dla tych szeptów zdradzieckich i dla tej ręki nienawiścią do wszystkiego co nasze, co polskie — rozpalonem żelazem, piętnującem piętnem kainowem.

I pytasz mnie, czcigodny mój wyborco, którego imię: setki, tysiące i setki tysięcy, czemu mnie Miedziński bił?

Otóż my tak zawsze... Zawodzimy, jęczymy, narzekamy, pytamy... A oni, a Miedziński bił i nie pytał! Słyszycie, wy wszyscy, skorzy do łez, do lamentu, do nut smutnych i rozpacznych. On nie pytał!

Stanowisko moje w tej sprawie, jak zawsze i nie od dziś jasne, twarde, nieustępliwe i narodowe. Kiedy młody porucznik, pietnastoletnie dziecko, podmówione przez przyjaciół p. Piłsudskiego, z całego rozmachu młodzieńczego zapału i zbałamuconej duszy grzmotnęło mego przyjaciela, posła, jak i ja, redaktora, jak i ja p. Stanisława Strońskiego, jak się to mówi po staropolsku, w ucho — wówczas pisałem wołając:

— Nie stawaj, kolego! Nie stawaj przed lufą pistoletu, przed ostrzem szabli, bo albo cię zabiją, albo ci, jak szelmie, uszy obetną.

Świadczę się swoim kolegą i przyjacielem, świadczę się posłem Strońskim, tak zagadkowo sprzedanym przez p. Paderewskiego wraz z biurkiem i wszystkiemi stołowemi nogami *Rzeczypospolitej* p. Korfantemu, że w podobnym wypadku zawsze rozdzieram szaty narodowo, patrjotycznie, ale stawać na udeptaną ziemię przed jakimś tam Miedzińskim nigdy nikomu nie radziłem, owszem odradzałem.

Zawsze rozdzierałem szaty i na pośle Miedzińskim również szatę rozdarłem. Jestem wobec Boga i ojczyzny, wobec honoru swego narodu i swego własnego w porządku. Ale co do stawania to już pókim żyw nie stanę! Tak mi dopomóż Bóg!

Władysław Drabski.

Zapytanie.

„drógi, interesóje, oficerowie ubiegające się, otorz, zawysoka, niezauważyć, mósiał, zamknoł, pragnoł“...

Czy w ten sposób piszący po polsku wyższy oficer, szef jednego z najpoważniejszych wojskowych zakładów w Polsce, ma prawo żądać dla podkomendnej mu szkoły miana wyższej uczelni, a od kandydatów tej szkoły egzaminu dojrzałości? — Żąda go zresztą nie od wszystkich, ale stanowczo żąda od legjonisty, który po ukończeniu 7 klas gimnazjum — polskiego, nie rosyjskiego, rzucił naukę po to, by z bronią w ręku wywalczać niepodległość Ojczyzny!

Czy pan ten nie miał obowiązku — w ciągu 6 lat — nauczyć się przynajmniej pisać ortograficznie po polsku? — Od rekruta analfabety wymaga się tego — w ciągu 1 roku.

Rozprawa z p. Junoszą-Gzowskim.

Dnia 17 listopada w sali № 1 Sądu Okręgowego w Warszawie rozegrana zostanie sprawa pomiędzy, dymisjonowanym już dzisiaj, współpracownikiem *Gazety Porannej* Junoszą-Gzowskim i redaktorami trzech pism stołecznych: *Kurjera Porannego* — red. Fryze i Popławski, *Myśli niepodległej* — red. Adam Niemojewski i *Głosu Prawdy* — red. W. Stpiczyński.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty,** kwartalnie **3 złote.** Zagranicą kwartalnie **5 złotych.**

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. **3288.**

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA“, Moniuszki 11.